

Liliana Sonik

Cezarego Łazarewicza błąd metody

„Takich jak wy, zrzuca się ze schodów!”
 – mówił minister-kierownik Urzędu do Spraw Wyznań Kazimierz Kąkol do Bogusława Sonika i Jerzego Budynia ze Studenckiego Komitetu Solidarności podczas spotkania z pracownikami i studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1978.

Reportaż historyczny cieszy się w Polsce estymą i popularnością. W ostatnich latach do korowodu uznanych autorów posługujących się tą formą dołączył Cezary Łazarewicz. Książka *Żeby nie było śladów: sprawa Grzegorza Przemyka* została świetnie przyjęta przez czytelników, a później zainteresowała recenzentów oraz jury nagrody literackiej „Nike”.

Łazarewicz sytuował się blisko bohaterów i opisywał następstwa znalezienia się w orbicie „sprawy Przemyka”. W totalitarnym państwie indywidualny los poddany był miażdżącemu działaniu aparatu władzy. Ukazanie mechaniki niszczenia ludzi czyni z opowieści o śmiertelnie pobitym maturzyście traktat o władzy, polityce i historii PRL lat osiemdziesiątych XX wieku. Gdyby ktoś wątpił, czy reportaż historyczny jest pełnoprawną literaturą, tego opowieść Łazarewicza nakłoni do zmiany zdania. Siła książki tkwi w umiejętności przedstawienia „mrówek i mrowiska”: historii konkretnych osób i historii pokolenia.

Wydawać by się mogło, że pisząc *Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa*, Łazarewicz skorzysta z własnych, dobrych doświadczeń. Wszak nawet tytuły obydwu pozycji są identycznie skonstruowane. Tytuły tak, ale nie książki. Ponieważ w *Na Szewskiej* autor uwagę skupił na Stanisławie Pyjasi i Lesławie Maleszce, w zasadzie abstrahując od systemu, którego koronkowej roboty produkowania faktów nie dostrzegł.

A przecież dwudziestoczteroletni student Stanisław Pyjas nie byłby zginął w bramie krakowskiej kamienicy, gdyby nie system, którego Służba Bezpieczeństwa była wytworem i gwarancją bytu. Także Maleszka nie stałby się pilnym płatnym donosicielem – Ketmanem – gdyby w piekielny krąg nie wciągnęła go machina inwigilacji stworzona przez SB. Jeśli od tego tła abstrahujemy, niczego nie zrozumiemy.

*

Nie było chyba tytułu prasowego ani portalu internetowego, który by *Na Szewskiej* przemilczał. Autor udzielił wielu wywiadów, brał udział w spotkaniach autorskich i dyskusjach. Jednakże nie wszyscy recenzenci książkę przeczytali, bo odnieść można było wrażenie, że jedyną interesującą ich sprawą była teza (a raczej supozycja), iż student Pyjas zginął przypadkowo. Po prostu banalnie spadł

z piętra przez niską barierkę. Było oczywiste, że to przyciągnie uwagę. Ostatecznie „sprawa Pyjasa” intryguje i zastanawia od czterdziestu pięciu lat. Powstały na ten temat książki, artykuły i filmy. Spośród fabularnych wymienić trzeba *Gry uliczne* Krzysztofa Krauzego, który reżyserował też dokument o Pyjasiu *Spadł, umarł, utonął*. Ważną rolę odegrał również nagradzany na międzynarodowych festiwalach dokumentalny obraz Ewy Stankiewicz i Anny Ferens *Trzech kumpli* z roku 2008. Zaprzeczająca dotychczasowym narracjom książka znanego reportażysty musiała wywołać mocne echo i sporo zamieszania. Supozycja, że Pyjas zginął, spadając ze schodów, a Stanisław Pietraszko, który widział Pyjasa ze śledzącym go mężczyzną, równie banalnie się utopił, nie jest zawieszona w próżni. Autor *Na Szewskiej* w języku reportażu historycznego rozpisuje ustalenia z ostatniego, zakończonego w roku 2019, śledztwa. Śledztwa umorzonego z powodu niewykrycia sprawców.

Informujący o tej decyzji prokurator z Instytutu Pamięci Narodowej Łukasz Gramza mówił: „Według nas to zdarzenie miało charakter czynu przestępczego i polegało na tym, że Stanisław Pyjas został pozbawiony życia w sposób umyślny”, z czym (pozornie) kłóci się ciąg dalszy wypowiedzi: „Bezspornie udało się stwierdzić, że obrażenia na ciele Stanisława Pyjasa powstały na skutek upadku z dużej wysokości i upadek nastąpił w miejscu znalezienia zwłok”. Ostatnie zdanie podważa nie tylko ustalenia śledztw poprzednich, lecz także opinię biegłych z roku 1977. Bo dwa tygodnie po śmierci Pyjasa przeprowadzono wizję lokalną, w wyniku której biegli stwierdzili, że „wykluczyć trzeba aby upadek denata nastąpił z któregośkolwiek piętra (przez poręcz klatki schodowej) na posadzkę kamienną...”¹.

Pragmatyka prawa karnego i esprit reportażu

Wobec takiej materii – zawilej i wcale nie jednoznacznej – strategii prokuratora i pisarza powinny, a nawet muszą się różnić. Problem sygnalizował już Roman Graczyk: „Jest oczywiste, że tylko reguły prawno-karne mają zastosowanie w ramach odpowiedzialności karnej. Ale książka o sprawie Pyjasa nie jest sądem karnym. Dlaczego więc jej Autor tak ją skonstruował?”

Skupienie się na logice typu prokuratorskiego niesie poważne konsekwencje. Bo przecież nie jest *Na Szewskiej* ani kryminałem, ani thrillerem. Praktyki stosowane przez SB były w PRL legalne, podczas gdy legalnymi być nie powinny, ponieważ łamały elementarne prawa nadrzędne, czyli prawa człowieka. Dla prokuratora zasadą oceny zjawisk jest zgodność (lub niezgodność) z prawem. Dla pisarza zaś podstawą osądu nie jest prawo obowiązujące w danym momencie,

¹ W uzasadnieniu umorzenia śledztwa w roku 1977 prokurator wojewódzki Henryk Sołga napisał: „Starano się odpowiedzieć na pytanie, czy śmierć nie nastąpiła w wyniku zepchnięcia ze schodów i upadku z pewnej wysokości. Zebrane materiały nie pozwoliły na uznanie takiej wersji za prawdziwą. Przeciwnie przemawiają [...] brak wylewów krwawych w rejonie kanału kręgowego na odcinku szyjnym i brak obszerniejszych podbiegnięć krwawych w miejscach grzbietu i kończyn. Brak jest więc objawów występujących przy uderzeniu ciała ze znaczną siłą o twardą powierzchnię. Tego rodzaju ustalenia dały pełną podstawę do wykluczenia przez biegłych Zakładu Medycyny Sądowej A.M. w Krakowie upadku Stanisława Pyjasa z któregośkolwiek piętra kamienicy przy ul. Szewskiej na kamienną posadzkę. [...] Kości kończyn i tułowia nie wykazywały zmian urazowych, podobnie jak zębra i kręgosłup, w którego kanale szyjnym nie stwierdzono wylewów krwawych”.

tylko kategorii moralne, psychologiczne, ideowe czy kontekst społeczny... Cytowana wyżej pogróżka ministra Kąkola nie ma wartości dowodowej, ponieważ wypowiedziana została już po śmierci Pyjasa. A przecież wiele wyjaśnia. Podobnie jak informacja, że SB podtruwała Teresę Honowską i Bogusława Sonika, szkicuje kontekst, który pozwala zrozumieć, o co chodziło zbuntowanym studentom¹.

Skupiając się na relacjonowaniu kolejnych śledztw, autor opuszcza pole właściwe literaturze. I nie jest to zabieg korzystny ani obojętny. Pyjas wyczytany z akt i kilku świadectw osób niekoniecznie blisko go znających staje się karykaturą chłopaka, którego dobrze pamiętam. Bo Pyjas z książki nie budzi sympatii, raczej przeciwnie. Z kolei sylwetka Lesława Maleszki – drugiego, niemal równorzędnego bohatera – budowana jest głównie ze świadectw ludzi nim zafascynowanych. Oczywiście Łazarewicz wielokrotnie podkreśla, że mamy do czynienia z kapusiem, z tajnym współpracownikiem SB, ze zdrajcą, ale nie udaje mu się Ketmana-Maleszki ani odsłonić, ani zrozumieć. Zamiast dramatycznego napięcia otrzymujemy zbiór prawdziwych lub naciąganych anegdot.

Nie takiej jakości opowieści spodziewać się można było od autora *Żeby nie było śladów*. Co się wydarzyło? Dlaczego w relacji o śmierci i zdradzie nie ma aktora bodaj najważniejszego, czyli systemu? Systemu, który jednego z trzech przyjaciół doprowadził do śmierci, drugiego do haniebnej zdrady, a trzeciego skazał na wieczne zamotanie w tej upiornej sytuacji.

To zrozumiałe, że funkcjonariuszom SB Łazarewicz poświęca niewiele uwagi. Jednakże ta odległa perspektywa przynosi dość nieoczekiwany efekt. Okazuje się bowiem, że scharakteryzowany w kilkunastu zdaniach dyrektor Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i szef SB generał Adam Krzysztoporski jawi się jako nieledwie najsympatyczniejsza postać w *Na Szewskiej*. Cytuję: „Inżynier budowy okrętów, władający biegle kilkoma językami, reformator i wizjoner. Pierwszy wprowadził w swoim departamencie komputerowy system rejestracji informacji operacyjnych. Podlegało mu 49 naczelników wydziału III w terenie” (s. 49). Po śmierci Pyjasa Krzysztoporski przyjechał do Krakowa. Zapamiętał teczkę rozpracowania Pyjasa. „Było w niej zaledwie kilka kartek (nie zachowała się do dzisiaj) i żadnego śladu, że przeciwko studentowi Resort prowadził jakiegokolwiek działania niezgodne z prawem” (nb.teczka inwigilacji Pyjasa istnieje). Szef SB oburzył się na brutalny język anonimów wzywających do wykończenia Pyjasa. A potem zapytał, czy jego podwładni pobili Pyjasa. „Stanowczo zaprzeczyli. Wyjechałem uspokojony” – relacjonuje Łazarewicz. I z tą uspokajającą wizją nas zostawia.

¹ Wyniki wirtualnej symulacji i analizy biomechanicznej z roku 2014 wskazują, że śmierć Pyjasa w wyniku upadku z wysokości drugiego piętra była prawdopodobna i możliwa. Słabym punktem tej analizy jest kwestia miejsca upadku, na co zwraca zresztą uwagę prowadzący badania prof. Wojciech Wach: „nie ma pewności, w jaki sposób ciało znalazło się pod samą ścianą”, czyli w miejscu, gdzie je znaleziono (cyt. za Łazarewiczem). Z kolei podczas ekshumacji przeprowadzonej w roku 2010 wykryto uszkodzenia kości, których nie stwierdzili biegli podczas sekcji zwłok. Nie dowiadujemy się jednak, jak w takiej sytuacji tłumaczyć stwierdzony zaraz po śmierci podczas sekcji zwłok „brak wylewów i podbiegnięć krwawych”.

Czy ja śnię? Generał SB nie kłamał, nie alkoholizował się, może nawet papierosów nie palił, za to rumienił się, gdy przeczytał grube słowo? To, że wiedząc, iż anonimy pisali jego pracownicy, równocześnie godził się na okłamywanie śledczych z prokuratury, widocznie było „legalne” i uzasadnione. Bo generał ufał bezgranicznie swoim ludziom. Po prostu człowiek honoru!

Nie z własnej inicjatywy poznałam wielu funkcjonariuszy SB. Byli różni: brutalni i chamscy albo ułożeni i grzeczni. Ci sami. W zależności od potrzeb i okoliczności.

Obiektywizm narratora

Podczas egzaminu na polonistykę Uniwersytetu Jagiellońskiego odsiewano osiemdziesiąt procent kandydatów. Nieco spłoszona stałam przed komisją egzaminacyjną, opowiadając o naturalizmie i jego aspiracji do precyzyjnego relacjonowania rzeczywistości. Przerwała mi prof. Ewa Miodońska-Brookes (ta sama, która Łazarewiczowi mówi, że Pyjas był studentem wybitnym). Zapytała, co sądzę o obiektywizmie narratora w literaturze. Pytanie niemal mnie rozbawiło: nie wierzyłam – i dalej nie wierzę – w sztukę obiecującą pełną neutralność poznawczą. Autor zawsze filtruje opisywany świat przez swe poglądy, doświadczenia osobiste, typ wrażliwości, a nawet bagaż kulturowy. Szanuję zamierzenie obiektywizmu, dopóki nie staje się obietnicą. Czyli mamieniem odbiorcy. Kiedy skończyłam, zapytano, jakie liceum kończyłam. Nowodworek? Tak przypuszczaliśmy. Proszę pogratulować nauczycielom – podsumowała Ewa Miodońska.

Przywołuję to wspomnienie, ponieważ zawiera istotne tropy. Nie jest bez znaczenia, z jakim bagażem pre-wiedzy pisarz przystępuje do pracy. Nie jest też bez znaczenia, jaką kończyło się szkołę i w jakim środowisku ewoluowało. Jedno i drugie niczego nie determinuje, ale wiele wyjaśnia.

Student Pyjas kończył liceum w Żywcu. „Umysł wyjątkowo lotny o dużej i głębokiej wiedzy”, „wrażliwy, skromny, lubiany, zaangażowany społecznie” – pisali o Pyjasiu nauczyciele z żywieckiego liceum. Tam był świetnym uczniem, lecz bez solidnej pracy nie stałby się świetnym studentem dwu kierunków – polonistyki i filozofii – na UJ w czasach, gdy sto dwadzieścia pozycji książkowych na liście lektur obowiązkowych z jednego tylko przedmiotu nikogo nie dziwiło. Przywołana wyżej prof. Miodońska mówi Łazarewiczowi o Pyjasiu: „Bardzo dojrzały młody człowiek. Skupiony, głęboko myślący, jeden z najlepszych moich studentów. Wybitna inteligencja”. A do tego pracował zarobkowo: pisał cudze magisterki, mył okna i wagony... Nie mógł więc alkoholizować się tak często, jak książka sugeruje. A jednak czytamy, że: „był człowiekiem steranym wódką... Pił na umór, żył niechlujnie, chuligański styl”. I z tą opinią autor czytelnika zostawia.

Rezygnuje z dociekliwości nie tylko w przypadku zadziwiającego seksapilu gen. Krzysztoporskiego czy alkoholizmu Pyjasa. To konsekwencja obranej metody pisarskiej. Choć nie znałam Pyjasa blisko, lubiłam go, ponieważ był ujmująco miły i skromny. Ale lubienie czy nie lubienie nie ma nic do rzeczy. Od zawsze uważam, że Pyjas był ofiarą idealną: drobny (według opinii lekarzy niedożywiony), nie miał w Krakowie żadnej wpływowej rodziny. Nie stało za nim żadne

środowisko, żadna instytucja, nawet Kościół, poza którym się sytuował. Tylko tych paru kumpli z akademika. No i kumpel na usługach SB. Dlatego tezę Seweryna Blumsztajna, który nie widzi powodu, dlaczego SB miałyby obrać za cel Pyjasa, bo „nie był nikim ważnym”, uważam za fałszywą. Podwójnie fałszywą. Bo Pyjas był zarówno celem relatywnie łatwym, jak i nieprzypadkowym.

W krakowskiej SB pracowało około pięciuset funkcjonariuszy, a w wydziale III, zajmującym się wykładowcami akademickimi i studentami, było ich sześćdziesięciu. Szefował im ppłk Jan Bill, który zaczynał karierę w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Bochni. W Krakowie w latach siedemdziesiątych XX wieku niewiele się działo, sytuacja wyglądała na stabilną i w pełni kontrolowaną. Ppłk Bill musiał się nudzić, bo jego wydział III zorganizował prowokację na wzór podobnych organizowanych przez Ochronę, a potem przez bolszewików. Po prostu SB założyła grupę opozycyjną wśród studentów polonistyki UJ, a potem z fanfarami ją zdekonspirowała i rozbiła, pozyskując przy okazji agenta Ketmana w osobie Lesława Maleszki. Jednym słowem, Bill miał same sukcesy. Aż tu nagle wiosną 1977 roku dostał pasztet w postaci buntowniczej petycji w sprawie robotników Radomia i Ursusa. Sygnowało ją pięciuset siedemnastu studentów. To było jak grom z jasnego nieba. Sensacja. A dla Billa – policzek. Fakt, że pół tysiąca krakowskich studentów z imienia i nazwiska sprzeciwiło się polityce Partii, musiał w MSW wywołać efekt elektrowstrząsu. Zarządzający krakowską bezpieką mogli się poczuć na swych stołkach mniej pewnie.

Bohater

Najwięcej podpisów pod „antysocjalistyczną” petycją zebrał właśnie Staszek Pyjas. Co dowodzi, że był popularny, miał zdolności perswazyjne i potencjał lidera. W logice zastraszenia rodzącego się nowego środowiska opozycyjnego był dla SB celem oczywistym.

W ostatnich tygodniach pił. „Coś go gryzło, coś przeżywał, ale nie miałem w to wglądu” – mówi Łazarewiczowi Adam Jastrzębski. Choć ustalenie, co dręczyło Pyjasa, powinno być istotne, Łazarewicz nie idzie tym tropem. Spróbuję więc wyjaśnić. Część „zgryzot”, jakie trapiły Pyjasa, była bowiem doświadczeniem także innych osób z naszego środowiska. W pierwszych dniach marca u moich rodziców zjawili się funkcjonariusze, żeby im oznajmić, że prowadzę „antypaństwową” działalność zagrożoną więzieniem do lat pięciu. Jeśli się nie wycofam, SB wyjaśni rektorowi UJ Karasiowi, że ma mnie wyrzucić z uczelni „na zbity pysk”; mojego brata nie przyjmie żadna uczelnia, a cała rodzina poniesie konsekwencje. To samo mówił mi esbek podczas przesłuchania, wykrzykując, że każe zerwać podłogi w moim mieszkaniu i znajdzie dowody działań przestępczych, bo jestem bojówkarą. Ten ostatni epitet zabrzmiał dość zabawnie, bo „maleństwem” koledzy nazywali mnie nie bez powodu. Najczęściej esbekom udawało się rodziny śmiertelnie przerazić – nasi ojcowie i matki doskonale pamiętali czasy stalinowskie.

Pod koniec marca do rektoratu UJ wezwano rodziców Pyjasa. Przyjechali z Żywca. Rozmawiał z nimi prof. Tomasz Weiss. Mówił, że funkcjonariusze SB

zapowiedzieli, że jeśli Staszek nie zaprzestanie współpracy z Komitetem Obrony Robotników, to spotkają go poważne nieprzyjemności: „Może mu się przydarzyć coś złego, coś najgorszego”. Rozmowę tę relacjonuje w swych wspomnieniach ojciec, Florian Pyjas. Rodzice są przerażeni i błagają syna, żeby się nie narażał, żeby skończył studia, do czego brakuje mu tylko pracy magisterskiej. Staszek wie, że jest nadzieją na pierwszego w rodzinie magistrą. Nie chce zawieść rodziców, ale wie też, że jeśli podporządkuje się dyrektywom SB, zrujnuje swą wolność i podepcze autonomię. Tak, to był dylemat z gatunku „być, czy żyć?”!

A to nie wszystko. Jego koledzy dostają anonimowe listy oskarżające go o bycie konfidentem SB. Są też okrutne wyzwiska i groźby. Doprawdy ostatnie tygodnie życia studenta Pyjasa były straszne. I same się straszonymi nie zrobiły. To piekło od A do Z zafundowała mu bezpieka, inwigilując godziną po godzinie, szantażując psychicznie jego i jego rodziców, oczerniając, ubliżając i strasząc.

Ale czy zabili? Z pewnością doprowadzili do straszliwego stanu. Omotali i zadręczyli... Czy zabili fizycznie? Łazarewicz pisze, że spadł z wysokości. Tak twierdzą eksperci i prokurator IPN. Skoro zabójcy nie znaleziono, to prokurator sprawę umarza. Ale dla pisarza to chyba marny argument. Dla mnie też.

Bo jak mam uwierzyć, że mocno pijany człowiek w ciemności (tej nocy nie działało światło przy Szewskiej 7) wspina się po krzywych schodach na II piętro, nie zostawiając śladów, nie dotykając ścian i poręczy? A przecież niemal natychmiast po śmierci Pyjasa – 7 maja – z Warszawy przyszedł rozkaz z samego MSW, by zabezpieczyć ślady linii papilarnych z poręczy, drzwi, ścian. Nie ma ich. Zostały zatarte. W ciągu kilku godzin? Tak się same zatarty?

Nie tylko Kuroń, KOR i Maleszka mówili o zabójstwie politycznym. O takiej możliwości przekonanych było sporo esbeków. Łazarewicz relacjonuje rozmowę z Józefem Tejchmą, który w roku 1977 był wicepremierem i członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Tejchma mówi o metodach służb: „Wszystko, co wychodziło z Rakowieckiej, było obarczone pewnym znakiem zapytania: czy to jest prawda?” Łazarewicz dociska: „A pan wierzył w wypadek czy w zabójstwo polityczne? – Wszystko było możliwe w tamtym czasie, także i zabójstwo”.

Pierwsze śledztwo, tuż po śmierci Pyjasa, było pod pełną kontrolą SB. W poszukiwaniu autora anonimów wzywających do rozprawienia się z Pyjasem mozolnie badano charakter pisma tysięcy krakowskich studentów, podczas gdy anonimy pisał funkcjonariusz korzystający z donosów Ketmana. A prokurator Henryk Sołga uzyskał oficjalne zapewnienie, że Pyjas nigdy nie był inwigilowany, co oczywiście było urzędniczym kłamstwem.

Zniknęła piwnica, do której drzwi znajdowały się obok miejsca, gdzie znaleziono ciało Staszka. Ponoć sprzątaczką znalazła w tej piwnicy okulary, które mogły do niego należeć. Opowiadała o tym właścicielom mieszczącej się w korytarzu cukierni. Nikt się nie zainteresował. Kiedy śledztwo prowadził prokurator Urbaniak, było za późno, kobieta zmarła, a kamienica została przebudowana. W wolnej Polsce z jakichś pokrętnych powodów część dokumentów SB oraz nazwiska agentów pozostały utajnione. Więc śledczy działali po omacku, świadkowie umierali, a dokumenty znikwały lub płowiąły.

Antybohater

Sportretowany w książce Lesław Maleszka, w odróżnieniu od Pyjasa, budzi zainteresowanie i współczucie. Jednak empatia nie pomaga w ocenie, a tym bardziej w zrozumieniu. Cezary Łazarewicz zbyt prostodusznie uwierzył w banialuki serwowane przez Ketmana w rozmowach czy w zakłamanym wyznaniu *Byłem Ketmanem*, którego obszernie fragmenty znalazły się w książce. Kłopot z Maleszką jest taki, że jeśli wyczuje słabość, to z niej skorzysta! Najzabawniejszą bzdurą jest opowieść o wykładzie Adama Michnika w jego mieszkaniu (które było wielkości i charakteru chustki do nosa) i o tym, jak został pobity, broniąc przed milicjantami swego gościa. Lesław Maleszka, który wcale się nie jękał, dopóki nie poznał Adama Michnika, jest twardym orzechem do zgryzienia. I Łazarewicz połamał sobie na nim zęby. Gdzie wytrawny przecież reportażysta popełnił błąd? W którym momencie opuścił gardę i w konsekwencji zatrzymał się na powierzchni zjawisk?

Bo Maleszka pisał nie tylko zwyczajne donosy, czyli sprawozdania z tego, co kto robi czy mówi. On przedkładał SB scenariusze na rozprawienie się z nami. Kilka dni po pogrzebie Pyjasa i Czarnym Marszu proponował, żeby SB nas skompromitowała poprzez alkohol i narkotyki, a „jeśli nie ma po temu przesłanek, należy je stworzyć”. Jednym słowem „zarządzał” prowokację, a kiedy esbecy nie podejmowali jego pomysłów, to skarżył się na nich do ich przełożonych. W książce Ketman-Maleszka wyznaje, że po śmierci Pyjasa bardzo obawiał się zabójstwa. A w następnym zdaniu twierdzi, że nie wierzył, iż Pyjas został zabity. No i tak kręci nami, jak chce...

Trudno powiedzieć, czy Pyjas mógł się zorientować w podwójnej grze Maleszki, ale z pewnością Maleszka mógł się tego obawiać. Zwłaszcza od momentu, gdy wniosek o ukaranie autora anonimów zawierających groźby karalne został skierowany do prokuratury. Takie hipotezy snuł mecenas Rozmarynowicz, choć teoretyzował, bo o podwójnej roli przyjaciela Pyjasa nie miał pojęcia. Przecież w dniu śmierci Pyjasa nie kto inny jak Lesław Maleszka stanowczo twierdził, że „Bezpieka zabiła Staszka”. Mówił to wszystkim, czy chcieli, czy nie chcieli słuchać. A w tym czasie był zadaniowany przez SB... To oficer prowadzący nakazał mu z wiadomością o śmierci Staszka udać się do Żaczka! Dlaczego Ketman podgrzewał atmosferę? Na to pytanie może być wiele różnych odpowiedzi: od autentycznego przerażenia (choć Maleszka emocjom nie ulega), przez hipotezę Bogdana Michalca z Archiwum X, który podejrzewał, że tej feralnej nocy Maleszka celowo oddzielił Wildsteina od Pyjasa, żeby ułatwić atak, aż po układankę kryminalno-polityczną o spiskowym charakterze.

Bezradność wobec maszyny przemocy

Oczywiście hipoteza układanki kryminalno-politycznej budzi ogromny opór. Przecież wszyscy uwierzyliśmy, że spiski nie istnieją. Tyle że to nieprawda. Istniały i istnieją. Zwłaszcza tam, gdzie zwyczajne, demokratyczne mechanizmy zdobywania i utrzymania władzy nie funkcjonują, a służby specjalne są nietykalne i pewne bezkarności. To działa na wielu poziomach. Zarówno na szczeblu

najwyższym, jak i w grze o zagwarantowanie sobie władzy na małym, prowincjonalnym poletku. Raz jeszcze przypomnę rozmowę Łazarewicza z człowiekiem będącym w roku śmierci Pyjasa w najwyższych władzach PRL. Wicepremier Józef Tejchma na pytanie, czy wierzył w wypadek czy raczej w zabójstwo polityczne, odpowiada, że „wszystko było możliwe w tamtym czasie, także i zabójstwo”. Dla ppłk. Jana Billa, który zdobywał bezpieczniackie ostrogi w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, mobilizacja studencka była upokorzeniem i zagrożeniem. Podważeniem jego kompetencji służbowych i zakwestionowaniem opinii przełożonych o jego skuteczności.

Gdybym znała morderców Pyjasa, nie milczałabym. Nie chodzi mi więc o rzucanie podejrzeń. Pragnę tylko zwrócić uwagę na podstawową słabość książki Cezarego Łazarewicza, którą wydaje się błąd obranej metody. Opierając swoje dziennikarskie śledztwo na śledztwach prokuratorskich, w konsekwencji zawiesił fakty w ontologicznej i moralnej próżni. To nie jest tak, że opozycjoniści zaordynowali wiarę w zamordowanie Pyjasa, a lud jak stado baranów uwierzył Wolnej Europie! Lud uwierzył, ponieważ doskonale wiedział, że takie morderstwo było prawdopodobne i możliwe. Przecież niecałe siedem lat wcześniej władza ludowa na Wybrzeżu pozbawiła życia czterdzieści jeden osób, a ponad tysiąc sto zostało rannych. Ofiar nie pozwolono normalnie pochować. I żadnego procesu nie było, winni pozostali całkowicie bezkarni.

Lud wierzył w zamordowanie Pyjasa przez SB nie dlatego, że miał rozkołysaną wyobraźnię i pożądał mitu, ale dlatego, że doskonale znał swoją bezradność wobec zorganizowanej maszyny kłamstwa i przemocy.